

Dk. Waldemar Rozyrkowski

Błogosławiony ksiądz
**Stefan Wincenty
Frelichowski**
(1913–1945)



Toruń 2018

© Dk. Waldemar Rozynekowski

Opracowanie graficzne:
Beata Króliczak-Zajko

Korekta:
Mirosława Buczyńska

Skład:
Karol Cyranowicz

ISBN 978-83-60053-79-9

TORUŃSKIE WYDAWNICTWO DIECEZJALNE
ul. Łazienna 18, 87-100 Toruń
Tel./fax (056) 622 35 30
www.diecezja-torun.pl/wydawnictwo
e-mail: twd@diecezja.torun.pl

Druk:
Machina Druku
www.machinadruku.pl

Spis treści

Wstęp	5
Boże, dziękuję Ci za moich rodziców	9
Ministrant	13
Sodaliczka Mariańska	13
Harcerz	14
Seminarium – czas pytań, poszukiwań i wyborów	16
Brakowało mu wspólnego stołu	21
Spotkanie podczas kolędy	23
Druga rocznica święceń kapłańskich	25
Wojna i sakrament pojednania	26
Wielki Czwartek 1940 r.	29
Obozowe listy	31
Legion Chrystusa	33
Parafia w obozie	34
Obozowa Eucharystia i modlitwa	35

Śmierć	36
Pamięć w obozie	37
Pięć guzików do sutanny	39
Pamięć po wojnie	41
Św. Jan Paweł II o ks. Stefanie	43
Litania do bł. ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego	45

Wstęp

Spotkania ze świętymi mają różne wymiary, różne są też i drogi ich poznawania. Jedną z piękniejszych jest odwołanie się do ich słów oraz słów i świadectw osób, które ich spotkały na swojej drodze życia. Dlatego też zapraszam do spotkania z bł. ks. Stefanem Wincentym Frelichowskim głównie poprzez lekturę jego tekstów, a także świadectw różnych osób, które spotkały go osobiście bądź też duchowo. Chcę w tym miejscu przywołać szczególnie jedną osobę – najmłodszą siostrę ks. Stefana, Marcjanę. Spotkania z nią zapaliły wielu, także piszącego te słowa, aby przyjrzeć się jeszcze bliżej Błogosławionemu.

W tym miejscu, aby zachęcić czytelnika do lektury publikacji, odwołam się do słów bpa Andrzeja Suskiego, który w taki sposób opisał swoje spotkanie z ks. Stefanem:

Moja osobista i serdeczna więź z księdzem Stefanem Wincentym Frelichowskim zawiązała się na kilka lat przed

jego beatyfikacją, gdy w połowie 1992 roku, już po utworzeniu diecezji toruńskiej, odwiedziła mnie pani Marcjana, Siostra Błogosławionego, przekazując maszynopis pamiętnika swego brata, pisany w latach 1929–1939, w okresie szkolnym, seminaryjnym i na początku kapłańskiej służby. Kopia odbita przez kalkę sprawiała trudności w czytaniu, ale lektura wciągała mnie coraz bardziej, tak bardzo, że poświęciłem na nią bez mała całą noc.

Trudno nie ulec fascynacji wyznaniem młodego człowieka, zapisanym na własny użytek duchowy, z których wręcz bije całkowita szczerość, niekiedy aż do bólu. Zauroczył mnie ten zapis, bo odzwierciedla dzieje duszy kogoś, kto zмага się ze sobą, wykuwa swój charakter, nosi w sercu wielkie ideały i potrafi dokonać w młodości opcji fundamentalnej, tego radykalnego wyboru drogi życiowej, któremu będzie wierny do końca, aż do męczeńskiej śmierci za drutami obozu koncentracyjnego Dachau, gdzie odda życie w służbie braciom, współwięźniom zarażonym tyfusem plamistym.

Niech powyższe słowa staną się zachętą do podjęcia lektury niniejszej książki. Zapraszam również do lektury innych tekstów poświęconych ks. Stefanowi, a szczególnie do sięgnięcia po jego *Pamiętnik* oraz *Rozważania na tle Ewangelii*. Te ostatnie prezentują nam wewnętrzny świat młodego człowieka, który szuka w swoim życiu woli Boga. W Jego świetle próbuje odczytywać historię swojego życia, historię swojej rodziny oraz wydarzenia, które go aktualnie spotykają.

Boże, dziękuję Ci za moich rodziców

Stefan Wincenty Frelichowski urodził się 22 stycznia 1913 r. w Chełmży, w małym miasteczku położonym w centrum historycznej ziemi chełmińskiej. Jego rodzicami byli Ludwik Frelichowski (1883–1957) i Marta (1886–1965) z domu Olszewska. Rodzina Frelichowskich zamieszkiwała kamienicę niedaleko rynku, przy ul. Chełmińskiej 5. Ojciec z zawodu był mistrzem piekarskim i prowadził piekarnię, która była dla rodziny

głównym źródłem utrzymania. Stefan miał pięcioro rodzeństwa. Dwóch starszych braci: Czesława (1909–1930) oraz Leonarda – w domu mówiono na niego Leszek (1911–1940), oraz trzy młodsze siostry: Eleonorę (1916–1986), Stefanię (1919–1948) oraz Marcjanę (1926–2003).

Najmłodsza siostra Marcjanna wspominała z opowiadań rodziców, że kiedy urodził się Stefan, jego ojciec chrzestny Zygmunt Sarnecki miał powiedzieć: *Jak można mu nadać takie imię, będą mówić na niego jakiś tam Stefek. Musi mieć na imię Wincenty – jak patron jego dnia narodzin, to brzmi tak męsko i okazale. Wy możecie mówić na niego Stefan, ale ja zawsze będę mówił Wicek.* Z perspektywy czasu wiemy, że to drugie imię, a właściwie jego zdrobnienie, tak do niego przyłgnęło, że wielu nazywało go Wickiem.

Stefan miał piękne i głębokie doświadczenie rodziny. Odczuł jako dziecko, następnie jako dorastający młodzieniec, w końcu jako dojrzały mężczyzna, miłość i zatroskanie rodziców oraz bliskość rodzeństwa. Im też

pierwszym uczył się okazywać wdzięczność i miłość. Napisał w *Pamiętniku*: *Jak to miło jest mieć kochanych swoich* (23 I 1934 r.). Głęboko przeżył śmierć brata Czesława (4 III 1930 r.): *Gdy przyszedłem do szpitala, to Czesiu, mój kochany brat, rozstawał się z tym światem, o wpół do piątej po południu 4 marca 1930. Straciłem brata, a rodzice swego syna, swoją dumę tu na ziemi. Straciłem brata. Był on mi rzeczywiście starszym ukochanym bratem.*

Dobre doświadczenie rodziny zrodziło w nim, jak najbardziej naturalne w życiu młodego człowieka, pragnienie odczuwania miłości do kobiety, a w związku z tym i pytanie: *Czy mógłbym lepiej wypełniać słowa Chrystusa, będąc mężem rodziny, żyjąc w społeczeństwie, być kapłanem świeckim?*

Siostra Marcjanna tak wspominała dom rodzinny: *W nim tętniło życie wieczorami. Zawsze przychodzili do nas dziadkowie i ciocia. Wszystkie uroczystości rodzinne odbywały się także u nas, ponieważ nasz dom był stosunkowo duży. Jego próg przekraczało też wiele młodych osób. Często śpiewaliśmy pieśni narodowe, patriotyczne i mło-*

dzieżowe. W pamięci pozostanie mi wspomnienie październikowych kolacji, które zawsze kończyły się modlitwą na różańcu, mimo że na różaniec chodziliśmy do kościoła. Często modlitwę tę odmawiali razem z nami czeladnicy, którzy uczyli się zawodu u taty.

Będąc już w seminarium w Pelpinie, na początku II roku, Stefan, rozważając fragment Ewangelii według św. Łukasza, zapisał następujące słowa o rodzinie (28 XI 1932 r.):

Rodzice moi oboje skrzętnie pracowali i pracują bez wytchnienia. Mają pewien owoc pracy. Dom w Chełmży. To owoc wyłącznie ich wysiłków. Ale obecnie mimo bardzo lichego stanu interesu, nie ustają w pracy, miłosierdziu, nie czynią niesprawiedliwych, nieczystych interesów, konkurencji. Widzą powolny upadek interesu, ale nie ustają w ufności do Boga.

Boże, dziękuję Ci z całego serca za moich rodziców chrześcijańskich. Dziękuję Ci za Matkę, która mnie zawsze do Ciebie prowadziła i w duszę pierwsze ziarna miłości dla

Ciebie wsiada. Dziękuję Ci, Boże, za mego ojca tak czynnego, we wszystkim zaradnego, pracującego aż do stargania swych sił. Dającego nam wzór miłości dla bliźnich, dla dzieci, dla życia. Dziękuję Ci, Boże, bo nie umiem ich przymiotów wyrazić, ale głęboko tkwią mi w duszy. A dom rodzinny, błogi ten dom, ileż dał radości i ukochania Ciebie, o Boże. Te modlitwy wspólne, te różańce, litanie w Wielkim Poście itd. Boże mój, dziękuję Ci.

Ministrant

Stefan mieszkał blisko świątyni. Właściwie możemy powiedzieć, że mieszkał w cieniu wspaniałej średniowiecznej świątyni, która przez kilka wieków, od połowy XIII do początku XIX wieku, była kościołem katedralnym diecezji chełmińskiej. Od dziewiątego roku życia był ministrantem. Mama Marta wspominała tak:

Był ministrantem bardzo wścibskim, wszystko musiał wiedzieć, wszędzie musiał być. Zawsze wiedział, za kogo była msza św., kto umarł, kto się żenił. Interesował się

wszystkim, co było związane z parafią. Pewnego roku, po swoim dyżurze w czasie nabożeństwa różańcowego, pozostał jeszcze na moment w kościele. Prawdopodobnie przysnął i nie usłyszał, jak kościelny zamknął świątynię. Kiedy się obudził, było ciemno, kościół zamknięty. Nie mógł wydostać się na zewnątrz. Pukał do różnych drzwi i wołał. Jednak przez długi czas nikt go nie słyszał. Wreszcie pukanie usłyszał nasz przyjaciel, ks. Baniecki. Poszedł po kościelnego i otworzyli drzwi. Wicek był bardzo przejęty tym zdarzeniem. Przeżył jeszcze kilka podobnych sytuacji.

Stefan był ministrantem jako dziecko, pozostał wierny tej posłudze jako młodzieniec i uczeń szkoły średniej. Z doświadczenia wiemy, że niewielu „wytrzymuje” tak długo. Z różnych powodów, po pewnym czasie przechodzi im to dziecięce zaangażowanie. Kiedy młodzi dorastają, zaczynają coraz świadomiej dzielić i odmierzać swój czas, często zaczyna im go brakować na obecność w kościele. U Stefana było inaczej.

Sodalicja Mariańska

26 maja 1927 r. Stefan został przyjęty w szeregi Sodalicji Mariańskiej Męskiej. Grupa ta istniała w parafii chełmżyńskiej od 8 listopada 1925 r. Tak więc Stefan trafił do niej półtora roku po jej założeniu. Celem sodalicy było: *przez szczególniejszą cześć Najświętszej Panny wyrobić w każdym stanie zastęp ludzi dzielnych, duchem Chrystusowym na wskroś przejętych, aby przez nich uświęcić poszczególne stany, a przez te stany społeczeństwo całe.*

Niespełna trzy lata po wstąpieniu do sodalicy Stefanowi zaproponowano pełnienie funkcji prezesa. Miał wtedy blisko 17 lat. Od 19 stycznia 1930 r. był prezesem Sodalicji Mariańskiej Męskiej. 10 lutego tegoż roku zapisał w *Pamiętniku: Wszystkich spraw jeszcze nie przejrzałem. Muszę trzymać moją powagę, szczególnie przed księdzem. Co do członków sodalicy to muszę się z nimi więcej zbratać, tak jak w drużynie. Mam bowiem w sodalicy takich, do których zaledwie gadam słówko.*

Harcerz

Stefan wstąpił w szeregi harcerstwa, a dokładnie do 2 Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego, 21 marca 1927 r. Miał wtedy 14 lat i był uczniem czwartej klasy w gimnazjum. 24 czerwca tego samego roku zaliczył próbę na stopień młodzika, a dwa dni później złożył przyrzeczenie harcerskie. W ciągu najbliższych dwóch lat pełnił funkcję przybocznego, ukończył kurs drużynowych oraz otrzymał stopień wywiadowcy. W 1929 r. uczestniczył jako reprezentant Chorągwi Pomorskiej w II Jubileuszowym Zlocie Narodowym Harcerstwa w Poznaniu.

Dzięki zachowanym zapiskom w *Pamiętniku* poznajemy głębokie myśli Stefana o harcerstwie. Po blisko trzech latach formacji harcerskiej i świadomego osobistego zaangażowania się w jego misję pod datą 16 stycznia 1930 r. odnotował:

W drużynie mam objąć drużynowego. Czy ja wiem, co zrobić? Będę czekał na wypadki. Czuję, że sodalicję bym do-

brze poprowadził, co do drużyny, to się obawiam. Czuję bowiem, że harcerstwo to jednak ma idealne zasady i idee. Aby je poprowadzić i wpoić, trzeba je wpierw dobrze posiadać, tego mi brak. Wprawdzie staram się o to, aby je osiągnąć, ale nie wiem, kiedy będę je umiał. A pchać drużyny, aby wegetowała, nie chcę, a na wyżyny jej nie dostanę. Oto przyczyna, dla której niechętnie przyjmuję drużynowego.

Ja sam wierzę mocno, że państwo, którego wszyscy obywatele byliby harcerzami, byłoby najpotężniejszym ze wszystkich. Harcerstwo bowiem, a polskie szczególnie, ma takie środki, pomoce, że kto przejdzie przez jego szkołę, to jest typem człowieka, jakiego nam teraz potrzeba. A już najdziwniejszą, ale najlepszą jest idea harcerstwa: wychowanie młodzieży – przez młodzież. I ja sam, jak długo tylko będę mógł, co tak Boże, aby zawsze było, będę harcerzem i nigdy dla niego pracować i go popierać nie przestanę. Czuwaj!

Nie dziwi nas więc, że 22 lutego 2003 r. bł. ks. Stefan Frelichowski został ogłoszony patronem polskich harcerzy.

Seminarium – czas pytań, poszukiwań i wyborów

Jesienią 1931 r. Stefan przekroczył próg seminarium duchownego w Pelplinie. Następne sześć lat miał spędzić w przebudowanych pomieszczeniach po dawnym klasztorze cysterskim oraz w murach gotyckiej katedry. Był to okres intensywnej pracy wewnętrznej młodego człowieka, nie był on łatwy, ale niezwykle głęboki i owocny.

W liście do kuzynki Stanisławy Olszewskiej z 24 stycznia 1932 r. Stefan jako kleryk pierwszego roku tak napisał:

Ciężko mi było opuścić dom, opuścić Chełmżę, z wielu powodów, dużo przyczyn. Serce do Chełmży ciągnęło. Ale głos inny, głębszy, głos wskazujący mi jasno cel życia zwyciężył. I teraz widzę, że jestem na mej drodze i szczęśliwy jestem. Chociaż nie myśl, że to łatwo idzie, tak bez walki. Nie. Wszyscy ludźmi jesteśmy. Trudno nam odwyknąć od

złych przywar i skłonności. To naturalne, ale walczyć trzeba, bo dopiero po walce jest zwycięstwo.

Pierwszy seminaryjny zapis w *Pamiętniku* to następujące słowa: *Kto mnie przywołał? Po co przyszedłem? Dlaczego tu jestem? Jakim być powinienem? Powołał mnie Chrystus. Ja zaprawdę mogę powiedzieć, że on mnie powołał. Bo dlaczego ja, który posiadałem miłość kobiety, sympatie ludzkie. Dlaczego ja, przed którym otworem stał świat cały, mogłem pójść gdzie chciałem, poszedłem tutaj. Poszedłem tutaj żyć dla Boga, dla Chrystusa. Przyszedłem uświęcić się. Przyszedłem stać się kapłanem wedle serca Bożego. Chcę osiąść wiarę św. Piotra, mądrość św. Pawła, ale serce chcę mieć św. Jana.* (*Pamiętnik*, 31 I 1932 r.)

Jak wyobrażał sobie przyszłe kapłaństwo? Jakie refleksje czynił nad znaną mu z osobistego doświadczenia posługą kapłanów? W *Pamiętniku* czytamy:

Kapłan dzisiejszy stał się wygodniem. Nie tyle żeby żył wygodnie. Może nawet nie, ale wygodniem przez to, że stracił w sobie ducha apostołstwa, stracił poznanie swe-

go celu. On ma zdobywać dusze, przyciągać je do siebie, zdobywać dla Chrystusa. On ma wyjść po dusze. Szukać ich po zaułkach i suterynach, szukać ich po salonach i pałacach. Szukać ich po domach mieszczan i chatach kmieci. Szukać, przyprowadzić do Pana i tam im otworzyć skarby religii. Kapłan zaś dzisiaj siedzi i czeka na dusze.

Tu kapłan powinien być apostołem. Tu iść, tu nie spoczywać ani na chwilę. Na czele ugruntowanych wiernych, którzy dadzą przykład, kim jest chrześcijanin, kapłan niech idzie po dusze, a nie czeka na dusze i pieniądze. Tak więc kapłaństwo dzisiaj przeważnie straciło swój ideał. Zniżyło stan kapłański z powołania do zwykłego zawodu. (Pamiętnik, 25 IV 1932 r.)

Kiedy w kwietniu 1933 r. rozważał fragment Ewangelii według św. Łukasza o ukrzyżowaniu Jezusa, napisał tak:

Życie kapłana winno być ukrzyżowaniem. Powinien ukrzyżować, przybić wolę swą gwoździem posłuszeństwa, ciało – gwoździem czystości, mienie – gwoździem ubó-

stwa. Przez to oderwie się od ziemi. Przez to bliżej do nieba przyjdzie, choć mu to będzie ból, trudności, umartwienie sprawiało... Pociągnij mnie, Panie, w Twoje ramiona. Utul, przytul mnie, Panie, do Twych piersi, do serca Twojego. Niech miłość i pokora Twoja przejdzie w serce moje, jak papier przytknięty do oliwy.

Stefan stawiał sobie szczerze pytania o powołanie. Zastanawiał się, czy wytrwa, czy podoła być dobrym kapłanem. 21 lutego 1934 r. zanotował w *Pamiętniku*: *Wczoraj po serdecznej rozmowie z ks. Bieszkciem, w którym mi przedstawiłem stan swej duszy, powziąłem nieodwołalną decyzję przerwania na rok studiów w Seminarium, w tym czasie zapisać się na Uniwersytet Warszawski na Wydział Historii. Za młody i za słaby jestem jeszcze do powzięcia decyzji o wstąpieniu do subdiakonatu. Sumienie radzi mi tak uczynić. I tam, z dala wszystko rozważywszy, uważam będzie mi dobrze.*

Pozostał jednak w seminarium. Po kilku miesiącach odnotował w *Pamiętniku* (18 XI 1934 r.): *Widocznie Bóg oświecił mój umysł. Widocznie inne są moje drogi ży-*

cia. Inne mam obecnie myśli. I do jakiegoś stopnia może jaśniejsze. Jakim ja inny. Spokojniejszy. I miast w Warszawie, siedzę w Pelplinie, odbywając rekolekcje.

Na początku października 1935 r., czyli kilka miesięcy przed przyjęciem święceń diakonatu, w *Pamiętniku* napisał tak:

Pozostaje sprawa ukochania kobiety i ogniska domowego. Dzieci. Mam w sobie to pragnienie. Przyznaję to, od lat gimnazjalnych biję się z tym. Pojmuję całe szczęście i rozkosz, jakie ono daje. Chcąc być kapłanem, trzeba z niego zrezygnować. Teraz tylko pytanie, czy Bóg mnie woła na kapłana. Będę badał historię mego życia, opinie drugich i Boga prosił o oświecenie. Nie ja wybrałem, aleś Tyś mnie wybrał, o Chryste. Nie wiem, czym na to zasłużyłem. Niczym, bo niczym jestem.

Na co moje zmagania, szarpanina, niepewność. Nie uznawałem Twojego wyboru. Pomawiałem się o pomyłkę. Ale dziś, Panie, chcę pójść za Tobą. O Panie, oddaję się w ręce Twoje. Nie widzę w sobie materiału na kapłana. Raczej na dobrego męża, raczej na kapłana bożka. Dobrego

katolika. Przywódcę. Ale Twoje zamiary względem mnie, widzę, są inne. Dlatego pokornie schylam przed Tobą głowę i ręce moje Tobie podaję.

W dniach 7–13 marca 1937 r. przeżywał rekolekcje przed przyjęciem święceń kapłańskich. Ostatnie słowa, które zapisał w *Pamiętniku* podczas tych ćwiczeń duchowych brzmiały następująco: *Oto, Jezu, chcę się stać dobrym Twoim przyjacielem, powiedzcie Ci moje i pragnąć słuchać Twoje. Myślę, że już wiem, co robić podczas wizyty u Ciebie. A poza tym jesteś zawsze ze mną w każdej chwili mego życia. Mój najlepszy i prawdziwy Przyjacielu. Z takimi słowami wszedł w kapłaństwo.*

Brakowało mu wspólnego stołu

W niedzielę 14 marca 1937 r. diakon Stefan Frelichowski otrzymał z rąk biskupa chełmińskiego Stanisława Wojciecha Okoniewskiego w katedrze w Pelplinie święcenia prezbiteratu. Następnego dnia odprawił w rodzinnej Chełmży pierwszą mszę świętą. Tak rozpoczęła się droga kapłańska ks. Stefana. Trwała ona tylko nie-

spełna osiem lat, z czego prawie dwie trzecie tego czasu spędził on w więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Bezpośrednio po święceniach pełnił najpierw funkcje kapelana i osobistego sekretarza bpa Stanisława Okoniewskiego. Od początku 1938 r., przez pewien okres, pełnił posługę wikariusza w parafii Trójcy Świętej w Wejherowie. Z dniem 1 lipca 1938 r. rozpoczął posługę jako wikariusz w parafii Najświętszej Maryi Panny w Toruniu.

Do Torunia przeprowadziła się także z Chełmży jego najbliższa rodzina. Siostra Marcjanna tak wspominała tamten czas:

W Toruniu zamieszkał najpierw Wicek. Tak się jednak złożyło, że i nas ciągnęło do tego miasta. W Chełmży zlikwidowano liceum i Stenia, starsza siostra, musiała dojeżdżać do szkoły do Torunia. Ja kończyłam szkołę podstawową i chciałam dalej uczyć się w gimnazjum. Mogłam oczywiście pozostać w Chełmży, ale zmiana szkoły była nieunikniona. Tatuś nie pracował już od jakiegoś czasu

w piekarni, więc nie był już związany miejscem pracy. Wydaje mi się, że o przeprowadzce do Torunia zdecydował mocno jeszcze jeden fakt. Wikarzy przy kościele NMP nie stołowali się w parafii. Wicek był z tego bardzo niezadowolony, brakowało mu wspólnego stołu, przy którym spędzali się czas. Biorąc to wszystko pod uwagę, rodzice, za namową Wicka, przeprowadzili się do Torunia.

Spotkanie podczas kolędy

Z tego krótkiego okresu wikariuszowskiego ks. Stefana w Toruniu zachowało się niewiele źródeł. Codziennosc księdza jest jednak powszechnie znana, wypełnia ją bowiem: sprawowanie sakramentów, modlitwa liturgiczna, katecheza, czy spotkania formacyjne z różnymi grupami parafialnymi. Dzięki zachowanym szkicom kazań widzimy, że ks. Stefan wiele miejsca poświęcał przygotowaniu liturgicznemu dzieci.

Zachowały się pisane przez ks. Stefana krótkie artykuły do tygodnika parafialnego „Wiadomości Kościelne parafii Najświętszej Marii Panny w Toruniu”.

Napisał ich w sumie 30. Ukazywały się prawie regularnie, co tydzień, od 8 stycznia do 3 września 1939 r. Ponieważ każdy tekst mówi o swoim twórcy, dlatego też dzięki zachowanym artykułom poznajemy pewne odsłony osobowości młodego kapłana, który przed kilkoma miesiącami rozpoczął posługę duszpasterską w parafii mariackiej. Wydaje się, że dotykamy w nich między innymi świata jego wewnętrznej wrażliwości.

Odwołajmy się do pierwszego artykułu, który został opublikowany 8 stycznia 1939 r. Był on pokłosem kolędy. Jakimi spostrzeżeniami dzielił się młody ksiądz? Artykuł zatytułował *Pan się objawia*. Gdzie objawił się Bóg ks. Stefanowi w czasie tej kolędy?

Ciemne schody prowadzą w głąb piwnicy, gdzie z jednej przegrody zrobiono mieszkanie: jedno małe okienko osłonięte czystą firanką, ceglana podłoga przykryta przymyślnie zrobionymi „dywanikami”, skromne urządzenie. Wszystko starannie i z wyczuciem piękna poustawiane. Mały piecyk żelazny ogrzewa (czy zawsze?) nisko sklepione pomieszczenie, ale wilgoć w powietrzu wyczuwa się

wyraźnie. Mąż odbywa służbę w wojsku, młoda matka sama utrzymuje teraz rodzinę z „doraźnej”. Najmłodsze dziecko jest u babki, dwóch chłopczyków schludnie ubranych tuli się do matki, na której twarzy maluje się troska i zmęczenie, ale i wielka wiara, że „Bóg nie opuści”.

Druga rocznica święceń kapłańskich

Posługując w parafii mariackiej w Toruniu, ks. Stefan przeżywał kolejną, dokładanie drugą, rocznicę święceń kapłańskich. Odwołajmy się do tego wydarzenia, gdyż on sam odnotował je w *Pamiętniku*. Zauważmy, że były to jego jedyne słowa, które tam zapisał, będąc kapłanem. Zobaczmy, na co zwrócił uwagę. Pod datą 15 marca 1939 r. w *Pamiętniku* czytamy:

Dziś druga rocznica mych prymicji. Dzięki Ci, Panie, za to, co doznałem przez te dwa lata. Nawet za me błędy i odchylenia od Twej woli. Wracam obecnie do Ciebie, Panie, by Ci naprawdę służyć. Mam może opalone już trochę skrzydła, lecz, Panie, w głębokiej pokorze klękam przed Tobą i proszę: daj mi szczerze prowadzić życie i nigdy nie być ak-

torem życiowym. Daj odwagę życia według wskazań Twoich. Klękam niżej niż zwykle. Tyś moim Panem. I stałeś się moim Ojcem. Panie, daję Tobie me życie. Nie umiem wyrazić mych obecnych myśli. Niech te chwile mego wahania życiowego i odchodzenia od Ciebie staną mi się obecnie mocą. Boże, chcę być naprawdę kapłanem.

Wojna i sakrament pojednania

1 września 1939 r. wybuchła II wojna światowa – przypomnijmy, że był to pierwszy piątek miesiąca. Ks. Stefan posługiwał więc tamtego dnia przede wszystkim w konfesjonale. Zapewne nie przypuszczał, że sakrament pojednania będzie jednym z głównych, którym będzie służył podczas wojny. On też nada pewien rys jego duchowości i tożsamości podczas tego trudnego czasu. Jego siostra tak wspominała pierwszy dzień wojny: *Tego dnia Wicek przyszedł do naszego domu razem z ks. Janem Mykowskim i ks. Janem Mantheyem. W domu wisiał obraz Najświętszego Serca Jezusowego. Wicek podszedł do niego i poświęcił całą naszą rodzinę Sercu Jezusowemu. Tego dnia wszyscy byliśmy u spowiedzi i komunii św.*

Ksiądz Stefan został aresztowany już w pierwszych dniach wojny, dokładnie 11 września 1939 r. Siostra Marcjanna tak wspominała:

Nie było nas wtedy w Toruniu. Dowiedzieliśmy się o tym po powrocie z ucieczki. Razem z władzami województwa ewakuowaliśmy się i zamierzaliśmy udać się do Kowna. Na szczęście tam nie dojechaliśmy. Zatrzymaliśmy się we Włochach pod Warszawą. Tam spędziliśmy prawie dwa tygodnie. Po tym czasie najbliższym transportem, na jaki udało się dostać, wróciliśmy do Torunia. Wicek już powrócił po pierwszym aresztowaniu, o czym oczywiście nic jeszcze nie wiedzieliśmy. Ponieważ nie mieliśmy klucza do mieszkania, starsza siostra Stenia poszła odszukać Wickę. Znalazła go w konfesjonale...

Ksiądz Stefan drugi raz został aresztowany 19 października 1939 r. Siostra Marcjanna tak zapamiętała tamten dzień:

Po mszy porannej Wicek przyszedł na śniadanie z ks. Leśniewskim. Zjedli i wyszli, niczego nie przeczuwając. Kiedy

mamusia sprzątała ze stołu, gospodyni domu, w którym mieszkaliśmy, przyniosła wiadomość, że chyba aresztowali księdza. Widziała, jak grupę księży gestapo prowadziło koło urzędu wojewódzkiego. Mamusia mówiła, że jest to niemożliwe, przecież dopiero co wyszedł z domu. Było jednak inaczej. Wicek, przechodząc przez klatki schodowe, szybko dotarł do plebani, tam jednak czekali już na niego Niemcy. Natychmiast został aresztowany. Po pewnym czasie ktoś przyszedł na plebanie i powiedział, że wszystkich księży, których aresztowano, przetrzymuje się w Forcie VII.

Ksiądz Wojciech Gajdus, proboszcz podtoruńskiej parafii w Nawrze, współwięźni, tak zapamiętał obecność ks. Stefana w toruńskim więzieniu w Forcie VII:

Była w toruńskim Forcie VII na piętrze ciemna, sklepiona piekarnia żołnierzy. Tuż za piecem pod ścianą było trochę miejsca, gdzie Wicek słuchał spowiedzi. Chłopcy i mężczyźni po omacku szli do kąta piekarni. Tam czekał Człowiek, który z Bogiem jednał dusze. Widziałem kilkakrotnie gest proszalny, zaklinający to Boga, to człowieka, łączący ich w jedność.

Wielki Czwartek 1940 r.

Na początku stycznia 1940 r. ks. Stefan został przeniesiony do obozu pracy w Nowym Porcie Gdańskim. Następnie, po miesiącu, wywieziono go do obozu w Stutthofie. Tak rozpoczął się okres jego pięcioletniego życia obozowego. Przebywającym w więzieniach, a następnie w obozach księżom doskwierał szczególnie brak możliwości sprawowania Eucharystii. Czasami trwało to nawet przez kilka miesięcy. Tak było chociażby w Stutthofie. I tu dotykamy zarówno gorliwości, jak i swoistej zaradności ks. Stefana. Odwołajmy się do wspomnień współwięźnia ks. Wojciecha Gajdusa:

Ks. Wicek Frelichowski dumął o czymś głęboko i fraszobliwie. Od kilku dni prowadził jakieś tajemne rokowania z przemytnikami chodzącymi codziennie do tartaku. Co popołudnie wyglądał ich niecierpliwie i wreszcie w środę Wielkiego Tygodnia na chwilę rozmarszczyło się jego zafrasowane czoło. Z radością i dumą pokazuje swym sąsiadom i powiernikom dwie małe pszenne butki, zawinięte

troskliwie w białą płócienną chustkę... Od rana też czyści skrupulatnie małą szklanę i tę spowija, jakby skarb jakiś, w inną chustkę. Spojrzeliśmy na siebie. Bez słów. Zrozumieliśmy szalony pomysł. Głębokie oddechy. Myśli gonią jedna drugą. Czyżby to było możliwe? Czyżby udać się to mogło tu, w tym miejscu tak strzeżonym? Nikt jemu słowa nie powiedział głośnego. Ważymy w sobie wszystkie za i przeciw. Wreszcie szept: A wino? Wicek niezrażony podnosi swe oczy na pytającego. Myślałem o tym – szepcze.

Inny współwięzień, kapłan diecezji chełmińskiej, ks. Barnard Czaplinski, po wojnie biskup pomocniczy w diecezji chełmińskiej, tak wspominał tamten Wielki Czwartek:

Gdy nas publicznie na placu apelowym bito na koźle, nie zapłakał nikt z kapłanów polskich. Ani jeden się nie załamał, ani też się nie poskarżył; w ów Wielki Czwartek i we Wielkanoc myśmy się nie wstydzieli naszych łez. Bo też było coś niesamowitego w tym wszystkim. Nocna, jakaś upiorna cisza panowała jeszcze w obozie koncentracyjnym. My zaś wszyscy bodaj już nie ludzie. Kaplica-barak z kilku derami

na oknach, by nie było widać światła palących się świeczek, które też się znalazły; zamiast złocistych ornatów łachmany podarte, zawszawione. W miejsce kielicha zwyczajna szklanka... Nie wiem, kiedy w życiu przyjmowaliśmy Chrystusa do duszy z większą miłością i oddaniem niż w ten Wielki Czwartek. Za to wszystko otoczyliśmy Wicka całą naszą miłością, bo już od pół roku nie byliśmy na Mszy św.

Obozowe listy

9 kwietnia 1940 r. ks. Stefan został przewieziony do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen pod Berlinem. Stamtąd, 16 czerwca 1940 r., napisał do rodziny pierwszy list. Było to raptem kilka zdań, w których informował, że jest zdrowy, prosił, aby listy pisać tylko w języku niemieckim, poza tym wszystkich pozdrawiał. Ostatni list wysłany z tego obozu nosi datę 1 grudnia 1940 r. Następny, z 15 grudnia 1940 r., został już napisany z obozu koncentracyjnego w Dachau. W sumie z okresu obozowego zachowało się 96 listów oraz 3 pocztówki napisane przez ks. Stefana. To wyjątkowe źródła, a właściwie relikwie po Błogosła-

wionym. Przywołajmy fragment jednego z listów. 11 stycznia 1944 r. napisał piękne słowa do siostry Marcjanny. Co ciekawe, list ten został napisany w języku polskim i wysłany poza cenzurą:

Masz swoje 18 lat, Marylu, wiesz, co życie znaczy. Ja, moja droga siostrzo, życzę Ci, byś ukochała kogoś Tobie odpowiedniego. O taką miłość dobrą modłę się dla Ciebie. Jeżeli jej nie masz, to módl się też. I czekaj, nie spiesz się. Może będziesz kiedyś i matką, i żoną. Chciałbym, byś dzieciom kiedyś mogła nieskalany pocałunek na głowie złożyć i niezbrukanyymi pogładzić ich włoski rękami. By dzieci twe dobrą matkę miały, byś dar wychowania ich miała, proś Boga o młodość i miłość dobrą, i Bożą, aby nic takiego nie było, czego byś się przed ludźmi i dziećmi twymi wstydzić miała. Twój brat.

U dołu listu ks. Stefan dopisał następujące słowa: *A gdy kto bezczelnie do Ciebie przyjdzie, to trzaśnij go w twarz.*

Legion Chrystusa

W czasie pobytu w obozie w Dachau ks. Stefan wraz z jezuitą klerykiem Kazimierzem Chudym był inicjatorem powołania do życia poufnego ruchu religijnego, zwanego Legionem Chrystusa. W obozowym języku zwany był on także Porozumieniem albo Świętym Sprzymierzeniem. Wizja ruchu została stworzona prawdopodobnie już w 1943 r., natomiast spisanie jego celów nastąpiło na początku 1945 r. Jak czytamy:

Legion Chrystusowy jest to zespół ludzi całkowicie oddanych Chrystusowi, który we wspólnym porozumieniu, przy zorganizowanym użyciu wszelkich dostępnych przyrodzonych i nadprzyrodzonych środków, chce urzeczywistnić ideę Królestwa Chrystusowego na ziemi, każdy według swego osobistego powołania.

Maryja Niepokalana jest Matką Legionu Chrystusa, Matka myśli naszej i dzieła naszego. Bez Maryi dzieło nasze nie jest do pomyślenia. Dlatego Jej powierzać musimy zawsze w opiekę wszystkie nasze poczynania, bezustannie

prosić Ją o prowadzenie, pouczenia, wskazywania, dobre rady. Póki Matka Najświętsza jest przy nas, tak długo nie potrzebujemy obawiać się o los myśli naszej.

Parafia w obozie

Choć trudno w to uwierzyć, to ks. Stefan pobyt w więzieniach i obozach traktował jako wyzwanie duszpasterskie. Patrzący na niego współwięźniowie, szczególnie duchowni, mówili, że traktował obóz jak swoją parafię. Kapłan diecezji włocławskiej, współwięzień, ks. Tadeusz Sukiennik, tak po wojnie wspominał ks. Stefana:

Z ks. Wincentym Frelichowskim zetknąłem się bezpośrednio na I sztabie bloku 28. Szare, smutne życie wypełniało każdy dzień obozu. Więźniowie zmęczeni pracą, zgłodniali chciwie spożywali lichą strawę obozową i wyczekiwali na schyłek dnia, by złożyć zbolale kości na pryczy obozowej. Każdy był zajęty sobą, myślał tylko o zaspokojeniu głodu. Dzień tu przeżyć było wielką rzeczą. Ks. Wincenty umiał się wznieść wyżej, ponad to szare życie obozowe.

Na środku izby stał duży piec, za nim można było się ukryć. I tutaj jeden z kapłanów, przeważnie ks. Wincenty, sprawował ofiarę Nowego Zakonu. Reszta kolegów, przeważnie kapłanów, siedziała przy stołach, mając przed sobą menażki i kubki – na wszelki wypadek kontroli władz, lecz w skupieniu i duchu katakumbowym uczestniczyła w ofierze Mszy św.

Ks. Wincenty obóz uważał za swoją parafię, pamiętał, że dobry pasterz idzie szukać owieczek.

Obozowa Eucharystia i modlitwa

Kapłan diecezji chełmińskiej, współwięzień, ks. Władysław Górski, tak po wojnie wspominał posługę ks. Stefana:

Ks. Wicek odprawiał Mszę św. w iście katakumbowych warunkach, między pryzmami, za kielich służyła mu szklanka, ołtarzem było łóżko, trochę wina i hostię zdobył od księży niemieckich, którzy na swoim bloku mieli przynajmniej kaplicę i Mszę św. Wielu Polaków było wystraszonych tym fak-

tem, że na ich bloku odprawia się Msza św. i protestowali, by ich nie narażać, bo mogą ich czekać represje, ale we Mszy św. uczestniczyli i ze łzami w oczach modlili się.

Współwięzień, kleryk werbistów Marian Żelazek, po wojnie misjonarz w Indiach, tak zapamiętał ks. Stefana z czasów obozowych:

Pamiętam jak dziś ten dzień 1942 r., w którym Stefan po raz pierwszy przyszedł na nasz blok 28, pokój pierwszy. Nikt nie odważył się dotychczas prowadzić wspólnych modlitw na sztubie. Pociągało to za wiele komplikacji i ryzyka... Stefan nie radził się, wiele nie pytał... Wieczorem przewodniczył już modlitwom, jako rzeczy całkiem naturalnej. Jego gorejący duch kapłański nie pojmował innego stanu rzeczy.

Śmierć

W końcu listopada 1944 r. zaczęła się szerzyć w obozie w Dachau epidemia tyfusu plamistego, połączona z krwawą biegunką. Chorych więźniów umieszczano w obozowym szpitalu, tzw. rewirze, pozbawia-

jąc ich opieki. Mimo surowych zakazów ks. Stefan śpieszył z kapłańską posługą umierającym współwięźniom. Po pewnym czasie sam się zaraził i zmarł 23 lutego 1945 r. Tak śmierć ks. Stefana przypomina współwięzień, jezuita, o. Adam Kozłowiecki, po wojnie misjonarz i kardynał w Zambii:

Zmarł na tyfus ks. Stefan Frelichowski z diecezji chełmińskiej, lat 32. Kapłan idealny, zmarł jako ofiara gorliwości duszpasterskiej. Nie zważając na niebezpieczeństwo zarażenia się, chodził nielegalnymi drogami na bloki tyfuśników, aby nieść im pociechę religijną i ratować dusze. Zaraził się wkrótce sam i padł jako męczennik swego kapłańskiego obowiązku.

Pamięć w obozie

Śmierć ks. Stefana wywołała pośród współwięźniów poruszenie. Mimo że zdołali się oni już przyzwyczaić do odchodzenia kolegów, przyjaciół, współbraci w kapłaństwie, a ich śmierć najczęściej nie robiła już na nich wielkiego wrażenia, to jednak tym ra-

zem było inaczej. W obozie miały miejsce niecodzienne wydarzenia. Oddajmy głos siostrze Marcjannie:

Pamiętam, jak pod koniec sierpnia przyjechał do nas późniejszy biskup, ks. Bernard Czapliński i przywiózł pośmiertną maskę Wicka. Zrobił ją Stanisław Bieńka, student medycyny, który także od początku wojny włączony był po różnych obozach. Dwa miesiące przed śmiercią brata pracował w rewirze chorych na tyfus. Z bratem znali się jeszcze sprzed wojny, ponieważ on także był harcerzem. W ostatnich dniach, kiedy Wicek przychodził pomagać chorym, i potem, kiedy leżał już chory, często ze sobą przebywali. Po śmierci brata zastanawiał się, co ma zrobić, żeby choć cząstkę brata zabrać do kraju. Ponieważ w tym pomieszczeniu było trochę wapna, postanowił zrobić odlew maski. Nigdy wcześniej tego nie robił, ale udało się.

Kiedy rano więźniowie szli do pracy, zawołał ks. Bernarda Czaplińskiego i oznajmił mu, że brat nie żyje. Kiedy więźniowie wracali z pracy, ponownie zwrócił się do ks. Czaplińskiego i zapytał, które z palców księdza są konsekrowane. Wyciągnął z nich dwie cząstki kostek. Jedną z nich za-

gipsował w masce, drugą natomiast umieścił w kawałku wapna, z którego zrobił mały kawałek kredy. Wieczorem, podczas modlitw za Wicka, księża wpadli na pomysł napisania wspomnień o bracie. Najwięcej natrudzili się przy tym ks. Czapliński i ówczesny kleryk werbistów Marian Żelazek. Ten ostatni spisywał wspomnienia w ubikacji, bo tylko tam można było to niepostrzeżenie czynić. Następnie maskę wraz ze wspomnieniami wyniesiono na plantację i zakopano. Postanowiono, że ten, kto przeżyje, przewiezie zakopane rzeczy do Polski. Po wyzwoleniu obozu były problemy z odszukaniem zakopanego skarbu, jednak w końcu odnaleziono to miejsce. I tak maska trafiła do nas.

Pięć guzików do sutanny

Informacja o śmierci ks. Stefana dotarła do najbliższej rodziny w Toruniu dopiero po kilku miesiącach. Siostra Marcjanna wspominała ten moment następująco:

Mieszkanie było wysprzątane, wszystko czyste i przygotowane na jego powrót. Każdego dnia go oczekiwaliśmy.

W prasie czytaliśmy o wyzwalanych obozach. Czytaliśmy także o wyzwoleniu Dachau. Każdy dzwonek budził naszą nadzieję. Mamusia była przekonana, że powróci na jej imieniny, na dzień 29 lipca, kiedy w Kościele wspominano Martę. Snuła nawet plany, jak to będzie, kiedy on przyjdzie: Ja na pewno będę myła podłogę, dzwonek, wejdzie Wicek, uniesie mnie do góry i uściska.

Pamiętam, jak w pierwszy piątek sierpnia mamusia poszła do zakrystii, w której był ks. Zygfryd Kowalski. Zapytała go, co się dzieje, że Wicek jeszcze nie wraca. Tak wielu już powróciło. Pamiętam, że czytaliśmy o powrotach księży z różnych obozów w „Przewodniku Katolickim”. Odpowiedział mamusi, że najlepiej będzie, jeśli uda się do kościoła św. Jakuba, bo tam wrócił właśnie z obozu ks. Plewa i on udzieli nam dokładnej informacji. Gdy mamusia wróciła do domu, jedliśmy właśnie śniadanie. Kiedy powtórzyła nam słowa ks. Kowalskiego, powiedziałam, że ja pójdę do wspomnianego księdza. Kiedy wychodziłam, mamusia przypominała mi jeszcze: „– Tylko nie zapomnij kupić pięciu guzików do sutanny”. W kościele odszukałam księdza i usłyszałam, że Wicek nie żyje.

Potem zastanawiałam się, jak ja mam to powiedzieć rodzicom. Poszłam do kościoła NMP i porozmawiałam z ks. Mykowskim i ks. Kowalskim. Powiedzieli mi, że mam iść do domu i że oni zaraz przyjdą. Jak ja jednak miałam iść do domu i powiedzieć rodzicom, że ich trzeci syn nie żyje. Poszłam po mamusi siostrę, która mieszkała na ul. Słowackiego. Rodzice przeczuwali już smutną wiadomość. Tatuś otworzył nam drzwi, mamusia klęczała i modliła się przed obrazem Serca Jezusowego. Padły pytania: „– I co? Jak tam?” Wcześniej ustaliłyśmy z cicią, że powiemy: „– Wicek żyje, ale jest chory. Potrzebna mu jest jakaś rekonwalescencja, a zresztą to przecież jeszcze wielu nie powróciło”. Tatuś pociągnął mnie jednak do drugiego pokoju i powiedział: „– Mów prawdę”. Wyznałam, że Wicek nie żyje. Wtedy tatuś podszedł do mamusi, objął ją i powiedział: „– Widzisz, Martusiu, nie dane nam było dożyć powrotu trzeciego syna. Wicus nie żyje, ale taka była wola Boża”.

Pamięć po wojnie

Pamięć o ks. Stefanie była zachowywana w kilku środowiskach. Pierwszym było oczywiście środowisko

rodzinne. Jego rodzice oraz żyjące jeszcze siostry w sposób naturalny pamiętały o nim. Jak już zaznaczono szczególnie miejsce zajmowała tu najmłodsza siostra ks. Stefana, Marcjanna. Dzięki jej wspomnieniom wiemy, że w miarę rodzącego się kultu i oni sami musieli się także uczyć innego spojrzenia na jego osobę. W rozmowie przypomniła kiedyś spotkanie w Pelplinie:

Franciszkanin, przed którym składaliśmy zeznania w trakcie procesu, zapytał się mnie: A ty jak modlisz się za wstawiennictwem brata? Odpowiedziałam, że ja się wcale nie modłę do brata. A on na to: Jak to się nie modlisz do brata? Przecież my wszyscy tu obecni modlimy się, prosząc, aby za jego życie wyniósł go Bóg na ołtarze? Uważałam, że ja jako najbliższa jego rodzina nie powinnam się modlić do niego. Od tego dnia zaczęłam się modlić. Tatuś już w tym czasie nie żył. Myślę, że my z mamą spojrzaliśmy od tego momentu na Wicka inaczej.

Już po beatyfikacji ks. Stefana, na pytanie, jak się modli za wstawiennictwem bł. ks. Stefana, jego siostra odpowiedziała tak:

Ja się nie modłę, ja z nim rozmawiam o wszystkim, co się wydarza. Mam go tu bardzo blisko. Mówię mu: „Wicek, widzisz, dzisiaj wydarzyło się to i to. Jak ty byś postąpił?” Rozmawiam z nim szczególnie w nocy, kiedy nie mogę zasnąć. Przychodzą wtedy do głowy różne myśli i zdarzenia z całego minionego dnia, które ja mu przedstawiam. Proszę go o łaski, ale przede wszystkim rozmawiam i jestem przekonana, że on te moje troski przekazuje dalej.

Św. Jan Paweł II o ks. Stefanie

Podczas beatyfikacji ks. Stefana, która odbyła się w Toruniu 7 czerwca 1999 r., papież św. Jan Paweł II powiedział o nowym błogosławionym:

„Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój”. Godność tego imienia błogosławiony słusznie przysługuje wyniesionemu dziś do chwały ołtarzy ks. Stefanowi Wincentemu Frelichowskiemu. Całe jego życie jest bowiem jakby zwierciadłem, w którym odbija się blask owej Chrystusowej filozofii, wedle której prawdziwe szczęście osiąga ten, kto w zjednoczeniu z Bogiem staje się człowiekiem pokoju,

czyni pokój i niesie pokój innym. Ten toruński kapłan, który pełnił pasterską posługę przez niespełna osiem lat, dał czytelnym świadectwo swego oddania Bogu i ludziom. Żyjąc Bogiem, od pierwszych lat kapłaństwa wszedł z bogactwem swojego kapłańskiego charyzmatu wszędzie tam, gdzie trzeba było nieść łaskę zbawienia. Uczył się tajników ludzkiej duszy i dostosował metody duszpasterskie do potrzeb każdego spotkanego człowieka. Tę sprawność wyniósł z harcerskiej szkoły wrażliwości na potrzeby innych i stale ją rozwijał w duchu przypowieści o dobrym pasteurze, który szuka owiec zaginionych i gotów jest życie dać dla ich ocalenia (por. J 10, 1–21). Jako kapłan zawsze miał świadomość, że jest świadkiem Wielkiej Sprawy, a równocześnie z głęboką pokorą służył ludziom. Dzięki dobroci, łagodności i cierpliwości pozyskał wielu dla Chrystusa również w tragicznych okolicznościach wojny i okupacji.

Litania do bł. ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego

Kyrie eleison, Chryste eleison, Kyrie eleison.

Chryste, usłysz nas, Chryste, wysłuchaj, nas.

Ojcze z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami.

Synu, Odkupicielu świata, Boże, zmiłuj się nad nami.

Duchu Święty, Boże, zmiłuj się nad nami.

Święta Trójco, Jedyny Boże, zmiłuj się nad nami.

Święta Maryjo, módl się za nami.

*Święty Janie Pawle II, który wyniosłeś do chwały ołtarzy
błogosławionego Stefana Wincentego i zawierzyłeś nam
dar Jego beatyfikacji, módl się za nami.*

*Błogosławiony Męczenniku, Stefanie Wincenty,
módl się za nami.*

*Od lat młodzińskich gorliwe szukający woli Bożej,
módl się za nami.*

Przyjacielu i Naśladowco Chrystusa, módl się za nami.

*Rozmawiający z Chrystusem Ukrzyżowanym i chroniący
się w Jego ranach, módl się za nami.*

Napełniony radością Ducha Świętego, módl się za nami.
Zakochany w Eucharystii, módl się za nami.
Od najmłodszych lat oddany Maryi, módl się za nami.
Szukający siły w modlitwie, módl się za nami.
Wytrwały w zdobywaniu cnót, módl się za nami.
*Miłośniku ewangelicznego posłuszeństwa,
módl się za nami.*
Wzorze czystości, módl się za nami.
Przykładzie ubóstwa, módl się za nami.
Pokorny w służbie Bogu i ludziom, módl się za nami.
*Obrońco wiary i obyczajów chrześcijańskich,
módl się za nami.*
Wychowawco dzieci i młodzieży, módl się za nami.
Patronie harcerstwa polskiego, módl się za nami.
Zatroskany o rodziny, módl się za nami.
Rozradowany w Bogu duszpasterzu, módl się za nami.
Wrażliwy sługo ubogich, módl się za nami.
*Gorliwy spowiedniku, lekarzu i przewodniku dusz,
módl się za nami.*

**Przyjacielu chorych, strapionych i opuszczonych,
módl się za nami.**

**Przywracający chęć do życia zagubionym
w ciemnościach rozpaczy, módl się za nami.**

Niosący nadzieję i pociechę konającym, módl się za nami.

Patronie dobrej śmierci, módl się za nami.

**Wierny do końca Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie,
módl się za nami.**

**Chwało ziemi chełmińskiej, ofiarno Bogu przyjemna,
módl się za nami.**

Świadku Bożego Miłosierdzia, módl się za nami.

Apostole Bożego Pokoju, módl się za nami.

Kapłanie według Serca Bożego, módl się za nami.

**Abyśmy zawsze żyli w łasce uświęcającej,
módl się za nami.**

**Abyśmy w powołaniu naszym do śmierci wytrwali,
módl się za nami.**

**Abyśmy za naszych dni cieszyli się pokojem,
módl się za nami.**

**Abyśmy otrzymali to, o co Boga za Twoim
wstawiennictwem prosimy, módl się za nami.**

*Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,
przepuść nam, Panie.*

*Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,
wysłuchaj nas, Panie.*

*Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata,
zmiłuj się nad nami.*

Prowadzący: *Módl się za nami błogosławiony Stefanie
Wincenty.*

Wierni: *Abyśmy się stali godnymi obietnic
Chrystusowych.*

Prowadzący: *Módlmy się. Boże, Obrońco i mocy swoich
wiernych, Ty w błogosławionym Stefanie Wincentym,
prezbiterze i męczenniku, dałeś uciśnionym wyraźny
znak miłości pasterskiej, spraw łaskawie, abyśmy dzięki
jego wstawiennictwu potrafili wytrwać pośród przeciw-
ności tego świata. Przez naszego Pana, Jezusa Chrystusa,
który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha Świętego,
Bóg przez wszystkie wieki wieków.*

Wierni: *Amen.*